

Adam Wiaryga-Minieski.

JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

9 — Acha! Przypadkiem... niby też to... Zaśmiali się głośno oboje.

— Możebyśmy wstąpił? — zaproponował Tadeusz wskazując drzwi cukierni. — Tyle mam opowiadać pytać... Swobodniej będzie niż na ulicy...

Róża zawahała się i spojrzała na zegarek: — Kiedy ja nie mam dużo czasu... — Na chwilę tylko... Wstąpmy, moja złota, moja jedyna... proszę...

— Dobrze, chodźmy... Ale trzech ulubionych ptysiów z kremem nie dostaniesz już tutaj, Tadeusz... Nie ma ich... Wojna!

— Tak wojna!... — powtórzył Tadeusz — gdybyż to tylko ptysiów zabrakło...

Kiedy Tadeusz powrócił do domu, pani Dowgirdowa przyjęła go spojrzeniem tak surowym, że go to musiało uderzyć i zastanowić.

Sądził, że matka gniewa się za spóźnienie na obiad w dniu tak uroczystym.

— Przepraszam mamusię — podniósł rękę matczyną do ust — że się trochę spóźniłem... Ale doprawdy nie mogłem...

Pani Dowgirdowa dosyć chłodno cofnęła rękę. Wzrok jej nie złagodniał wcale: — Ha! Skoro nie mogłeś... — wyrzekła z wyraźną ironią — to widać były jakieś nadzwyczaj ważne sprawy...

Młodzieniec popatrzył zdziwiony. Nie nawykł u matki do takiego tonu. Przytem pani Dowgirdowa od czasu, jak syn zaczął wyrastać z pacholęcia na mężczyznę — nie rościła sobie prawa do jakiejś uciążliwej kontroli. Tadeusz jako uczeń w wyższych klasach gimnazjalnych mógł przyjmować swobodnie kolegów, wychodzić z nimi, powracać do domu o dowolnej porze, byle nie zbyt późno, mógł czytać, co mu się żywnie spodobało, chodzić do teatrów i dobierać sobie według własnej woli towarzystwo.

Matka ufała mu, że o najważniejszych rzeczach i tak jej opowie, nie chciała go zaś krępować, aby przez to nie wyrobić w dorastającym chłopcu kłamstwa i obłudy.

Cóż się jej więc stało? Tadeusz wyczuł, że to nie o spóźniony obiad chodzi:

— Matuchna gniewa się na mnie? za co? — zapytał.

— Jedz teraz — pani Dowgirdowa wyminęła pytanie syna. W milczeniu nałatała mu na talerz rosół.

Postanowiła rozmówić się z Tadeuszem bardzo poważnie i stanowczo. Chciała jednak, aby przedtem spokojnie zjadł obiad.

On wszakże zdradzał dzisiaj niewielki apetyt. Ta atmosfera nadciągającej burzy zdenerwowała go.

Zostawił na talerzu kilka łyżek rosółu, zjadł tylko jeden plasterzek pieczeni i podziękował za drugą porcję leguminy.

Matka nie nalegała, ale w milczeniu po leguminie — postawiła przed nim filiżankę mocnej czarnej kawy. Troskliwie chowała dotychczas drobną ilość prawdziwej ziarnistej kawy, aby uraczyć syna jego ulubionym napojem.

Tadeusz mieszkał kawę łyżeczką, a pani Dowgirdowa łamała sobie głowę, w jaki sposób zacząć tą drażliwą rozmowę.

Syn sam jej w tem dopomógł.

— Matuchna, chciała o czymś pomówić ze mną? — rzucił pytanie podrażniony trochę.

— Istotnie. O czymś bardzo ważnym.

— Słucham.

Znowu zapanowała na chwilę cisza. Pani Dowgirdowa, szukała odpowiednich słów. Wreszcie zdecydowała się odrzucić wszelką dyplomację i postawić kwestię zupełnie jasno.

— Czy wiesz ty — patrząc synowi w oczy prosto i przenikliwie — co się stało z tą fotografią, której wczoraj tak usilnie szukałeś?

Łyżeczka drgnęła w palcach Tadeusza.

— Nie wiem i byłbym bardzo wdzięczny, gdyby mi mamusia mogła to powiedzieć...

— Mogę! Ja ją rzuciłam w piec!

— Co?! — łyżeczka z brzękiem upadła na stół, znacząc ciemną plamę z kawy na śnieżnej bieli obrusa.

Tadeusz zerwał się z krzesła.

— Dlaczego?!... Jak mamusia mogła?!... Jakim... —

— Proszę Cię, Tadeusz, siadź! — przerwała mu matka — jeżeli będziesz skakał jak oparzony, to nie podobna mówić rozsądnie.

Tadeusz usiadł nachmurzony. Iskry gniewu migotały mu w oczach.

— Chciałeś spytać jakim prawem postąpiłam tak z twoją własnością. Odpowiem ci na to... Prawem matki, dbałej o szczęście i honor syna!... Prawem Polki, która broni czystości swego progul... Ty mój syn, potomek tych oto — wskazała ręką wiszące na ścianach portrety. — Nie powinienes, nie możesz nosić na sercu podobizny... takiej... Goldbaumówny... I co znaczyła ta czuła dedykacja?!

Tadeusz wysłuchał zupełnie na pozór spokojnie, nie przerywając ni słowem. Pani Dowgirdowa umilkła już, a on jeszcze przez chwilę nie odpowiadał, jakby czekając, żeby się matka wypowiedziała do końca.

— Dobrze, że mamusia wszczęła tę rozmowę, — rzekł — bo ja i tak sam miałem powiedzieć, że Goldbaumówna, z której fotografią mama obeszła się tak surowo — jest moją narzeczoną!

Pani Dowgirdowa spojrzała na syna, jak na kogoś, kto bredzi w gorączce — z przestachem i ze współczuciem. I nie od razu znalazła odpowiedź. Takiego postawienia kwestyi nie spodziewała się. Przypuszczała miłość, romans daleko może posunięty... I to byłoby brzydkie, haniebne, ale narzeczeństwo!... Czy on to seryo mówi?

— Żartujesz chyba, Tadeusz, albo nie rozumiesz, co znaczy słowo narzeczoną...

— Ja zaręczam mamusi, że rozumiem doskonale...

— Mam jednak prawo przypuszczać, że niezupełnie... Dziecko moje! toż narzeczoną nazywa mężczyzna kobietę, którą zamierza poślubić, wobec Boga i ludzi uznać za swoją, dać jej nazwisko. Ona ma mu być towarzyszką całego życia i matką jego dzieci... — głos pani Dowgirdowej zabrzmiał niezwykle poważnie, prawie uroczysto. Ta kobieta wysoko ceniła świętość małżeństwa i rodziny.

— Ale matuchno, czy mnie matuchna uważa za krety, że bym ja tego wszystkiego nie wiedział?!

— Więc jeżeli wiesz, jeżeli pamiętasz o tem, to jak możesz powiedzieć o tej żydówce — moja narzeczoną!... Przecież między wami małżeństwo niemożliwe!...

— Dlaczego?

— Jakto?... w jaki sposób... chyba jakiś cywilny ślub... — ostatnie słowa wymówiła z nie dającą się ukryć trwogą...

— Ależ nie. Ona pójdzie za mną.

— Dziecko, zdaje ci się. Młody jesteś, łatwo wierny uczciwy, a ona chytra...

— Mamusi, nie znasz jej!... To natura czy sta i szlachetna i Polka całem sercem i duszą... O! gdybyś ją poznał bliżej zechciała...

— Niel — odrzuciła szorstko i twardo pani Dowgirdowa — ja jej poznawać nie będę!... I jak ty mi to nawet śmiesz proponować!... Tadek czy ty wiesz kto jest Goldbaum?... i jacy są oni wszyscy!...

Tadek wstał podszedł do matki, ujął jej rękę i łagodnym tonem perswazyi zaczął

— Mamusi, wiem wszystko, co mi możesz powiedzieć o Goldbaumach i im podobnych... Wiem nawet może więcej. Ale cóż ona temu winna?... Ona, która dusi się, męczy w tamtej atmosferze...

— Naturalnie, — przerwała żywo pani Dowgirdowa — musi ci się przecież przedstawić w interesującej, poetycznej roli... kwiatu na bagniskul... Na to jej z pewnością sprytu nie zabraknie!... Musi być nie opisane chytrą kokietką, jeżeli potrafiła tak ciebie oplotać!...

— Nie mamusi, nie!... doprawdy mylisz się... To jest istota szlachetna, szczerą... i Polka prawdziwa całem sercem i duszą!... — mówił Tadeusz z głębokim przekonaniem.

— Ha! ha! ha! — Zaśmiała się matka przykro, szydersko. — Dobry sobie jesteś mój Tadeusz... Najwinniejszy niż przypuszczam!... Znasz się na ludziach tyle, co małe dziecko!

Śmiech ten niemile dotknął Tadeusza, podrażnił go. Młodzieniec panował jednak nad swemi podnieconemi nerwami i usiłował serdeczną prośbą trafić do serca matki.

— Gdyby mamusią zechciała ją poznać, to przekonałaby się mama...

Pani Dowgirdowej, czy błysnęły stalowo.

— Ty mi to śmiesz proponować!... — zapytała drżącym głosem.

— Ależ, w tem chyba niema nic ubliżającego, że pragnąłbym, aby mamusia poznała moją narzeczoną...

— Nie nazywaj jej tak w mojej obecności!... Powtarzam ci, nie rozumiesz tego słowa!... Tadek, dziecko moje, to obłąd przecież... to szal jakiś nieszczęsny!...

Tadeusz zapalił papierosa i puszczając cienkie nitki dymu przeszedł się kilka razy po pokoju.

— Nie mam — rzekł po chwili, — to uczucie prawdziwe i postanowienie niezłomne!...

Pani Dowgirdowa załamała z rozpaczą ręce. Zbyt dobrze знаła syna, aby nie wiedzieć, że tak stanowczym tonem przemawia tylko w chwilach bardzo poważnych. Niebezpieczeństwo groźniejsze jest, niż to przypuszczać mogła...

Ale to przerwać trzeba — koniecznie, od razu, radykalnie!...

— Na miły Bóg!... Tadek, skąd się to u ciebie wzięło?!

Tadek przystanął i nie patrząc na matkę, ale przed siebie odparł z uśmiechem rozmarzenia na ustach:

— Skąd się to wzięło?... Czy ja wiem... kłóż wogóle wie... skąd się bierze miłość...

Przychodzi i jest... O! i wszystko...

— Czy ty tę Goldbaumównę dawno znasz? — indagowała pani Dowgirdowa.

— Poznałem ją jeszcze w gimnazjum... przed maturą...

— I ukrywałeś przedemną to tak długo?!

O! gdybym była przeczuła!...

— Z początku sam nie zdawałem sobie sprawy z tego, co się we mnie dzieje... A potem... potem... znałem, mamusi, twoje uprzedzenia...

— Ty to nazywasz uprzedzeniami?!

— Przynajmniej w stosunku do niej...

— O! jakże ona cię opętała!... ta... ba... ba... — nie przyzwyczajona do obelg i wyzisk szukała odpowiednio pogardliwego słowa.

Tadeusz nie pozwolił jej tego słowa znaleźć. Znowu uchwycił rękę matki i uściśnął ją mocno!

— Mamo, nie obrażaj jej!... Ja na to nie pozwolę!... pozwolić nie mogę!... Ona na to nie zasługuje, żeby ją obrażać!...

Pani Dowgirdowa wysunęła rękę z rozpalonej dłoni syna i spokojnie trochę choć bardzo posępnie mówić zaczęła:

— Gdyby ta panna była choć w części tak szlachetna, za jaką ty ją masz... gdyby poprostu była uczciwą, skromną dziewczyną to by sama nie zbliżała się do ciebie!...

— Ależ mamu... —

— Proszę cię pozwól mi dokończyć! Małżeństwo pomiędzy wami jest pomysłem tak niedorzecznym i tak fantastycznym, że nikt i napewno ta panna również na seryo brać go nie może!... Więc jako porządna dziewczyna nie powinna dopuścić do tego rodzaju znajomości... Nie tego też się obawiam, abyś się z nią ożenił, bo to jest majaczenie!... Ale o to mi chodzi, żeś ty wogóle mógł się tak seryo zająć. — pani Dowgirdowa rozmyślnie unikała słowa: — kochać kobietą obcą nam krwią, narodowością, religią, tradycją, wychowaniem!... Żeś ty mógł pomyśleć nawet o takim!...

Tadeusz słuchał ze ściągniętymi brwiami — chmurnie zadumany.

— Jakże ja mamusi wytłómaczę, że, ona nie jest obcą wcale, kiedy mamusia tego słucha i pojąć nie chce!...

— Nie chcę!... nie chcę!... i nigdy nie pojmę!... wybuchnęła pani Dowgirdowa.

Głowę wsparła na ręce, kąty jej ust opadły w dół, nadając twarzy wyraz bolesny. Mówiła cicho z ogromnym z głębi serca płynącym żalem.

— Bóg mi świadkiem, że nigdy dla mego jedynaka nie marzyłam o posagach, zaszczytach, koligacjach... że nie pożądałam świetnej bogatej synowej, tak jak to nieraz inne matki dla synów roją!... Jeżeli mi myślała o twojej przyszłości, to zawsze mówiłam sobie: niech sobie będzie nawet z najskromniejszego gniazda, nawet najuboższa, byle to było takie pocziwe, nasze, swoje, z czystym sercem i prawdziwie polską duszą... Niczego więcej nie pragnęłam, a tymczasem... Tadeusz! Tadeusz... jak ty możesz patrzeć nawet na tę żydówkę! kiedy masz taką złotą, kochaną, śliczną dziewczuszkę, jak Jania Dziegłowska!...

(Ciąg dalszy nastąpi).